



BERND KEBELMANN

POLSKO-NIEMIECKIE ZNAKI CZASU

[„Deutsch-polnische Zeitzeichen“]

Graf Schaffgotsch, po polsku: *hrabia Schaffgotsch*, szlachcic, pan na włościach w Niederschlesien, po polsku: *na Dolnym Śląsku*, a także właściciel kopalni na Górnym Śląsku, był konkurentem Ducha Gór Rübezahl, po polsku: *Liczyrzepy*.

Schaffgotsch żył w czasach moich dziadków, w dzieciństwie mojej matki, która wychowywała się – biednie, ale schludnie – na łąkach i polach, między górami i lasami, wypasając gęsi i kozy w romantycznej Dolinie Bobru. Schneekoppe, *Śnieżkę*, najwyższy szczyt Karkonoszy widziała na horyzoncie od południa. Wklęsła sylwetka tego wysokiego i smukłego pasma górskiego wyjaśnia jego polską nazwę: *kark* (po niemiecku: Schulter) i *nosze* (po niemiecku: die Trage), a więc: *Karkonosze* – dla *Gór Olbrzymich*¹ (po niemiecku: Riesengebirge), które na swoim karku dźwigały biedę i nędzę, a hrabiemu ułatwiały żywot.

Hrabia Schaffgotsch był dla mnie niczym innym jak srebrną łyżeczką do kawy; mała rzecz, a cieszy i ma swoją wagę; łyżeczką od chrztu mojej matki, ozdobioną runiczną grawiurą litery S jak Schaffgotsch. Każde dziecko w hrabiostwie otrzymywało ją w prezencie na chrzcie. Ten jedyny srebrny przedmiot w domu odgrywał rolę wychowawczą. Codziennie polerowany z łatwością uczył jego posiadaczkę sprawności gospodarczych, czystości, przyzwoitości,

¹ **Karkonosze** – polska nazwa tradycyjna do 1946: Góry Olbrzymie

liczenia pańskiego srebra. Próbowałem nią jeść. Mama śmiała się ze mnie. Jedząc tą łyżką, jadło się bardzo małymi porcjami, na miarę własnej skromności. Ale jeśli ktoś tylko na nią popatrzył, poczuł się związany z hrabiostwem, stawał się jakby odrobinę szlachetniejszy i wyrastał na biedne, wcześniej wysłane w nieznane, ale radosne i przywiązane do ojczystej ziemi dziecko śląskiego hrabstwa.

*Gdy przybyłem na tę ziemię,
góry na mnie spojrzały,
jako dziecko, jako młodzian,
nie wiem sam, jak się stało.
Moje wy Góry Olbrzymie,
gdzie Łaba smętnie płynie,
gdzie Liczyrzepa z kartami
dziś jeszcze sagi i baśnie snuje.
Góry Olbrzymie, niemieckie góry,
mój u-u-ko-cha-a-ny domu ty!*

Śląsk był wtedy niemiecki, ale cóż to znaczy. *Siedlęcin* nazywał się Boberröhrsdorf, schronisko *Pera Zachodu* było gospodą Turmsteinbaude, ową zaporą, która kiedyś wstrzymywała Bober, dziś polski *Bóbr*, a nazywana była końcem świata. To zdradzało wszystko o tym zakątku między górami, ale nic nie mówiło o ludziach i ich nastrojach, o tej dwujęzycznej, transgranicznej, nieubłagalnie panującej biedzie, jaką śląscy tkacze doświadczyli już przed stu laty, a o której wydał świadectwo Gerhard Hauptmann w „Tkaczach”, a Heinrich Heine wyśpiewał w „Pieśni śląskich tkaczy”:

*Niemcy, stary kraju, twój całun tkamy ci,
tkamy weń potrójne przekleństwo,
tkamy ci, tkamy ci...*

Kto był odważny, wyjeżdżał stąd. Ciotka Hedwig dała początek. Mając 15 lat, pojechała do Berlina, do „Berlina – Babilonu Grzechu”, jak mawiali Ślązacy. Moja matka podążyła za nią. „Poszła na służbę” do willi pod Berlinem, co oznaczało, że dwadzieścia cztery godziny na dobę musiała stawać na baczność, na-słuchiwać życzeń i rozkazów szanownych państwa, usłużnie skakać na każde zawołanie, najlepiej – uprzedzając wołanie łaskawej Pani.

To właśnie emigracja mojej matki w poblizze niemieckiej stolicy

sprawiła, że mówię dziś po niemiecku, a nie po polsku. Być może na Śląsku wyszłaby za mąż za Polaka jak Urszula, moja kuzynka, która tam została i mówi dwoma językami. A ja, w przeciwieństwie do niej, nie mogłem nigdy dobrze zrozumieć naszego sąsiada Platallę. Jak jeszcze był w stanie przeklinać, przeklinał po polsku, no, bo jakże by inaczej. Ubrany w spodnie do jazdy konnej, stał w kaloszach pośrodku ogrodu z łopatą w ręku. Nadaremnie przepędzał kury, które chciwie wydziobywały robaki z ziemi. Z purpurową twarzą krzyczał: *Na Boga, do diabła, cholera jasna!* Tak albo podobnie brzmiał jego bas, przy czym liście spadały z drzew, a kury zносиły ze strachu jaja bez skorupki.

Ojciec zapewniał, że to żadna plotka, że matka uratowała mu życie. I to bez długo planowanego ślubu w śląskim Brückerberg, po polsku *Bierutowice*². Tamtejszy kościół Wang³ – barwnie pomalowany budynek, odkupiony od Norwegów przez Fryderyka Wilhelma IV, przypominający pagodę strzeżoną przez głowy smoków – nadaremno czekał na moich rodziców, na nowożeńców.

Po tym, jak 1 września 1939 roku strzelano na rozkaz „Führera“, z konieczności udzielono ślubu moim rodzicom w Urzędzie Stanu Cywilnego w Berlinie. Wehrmacht przyznał gefrajterowi Kurtowi K. dwa dni urlopu okolicznościowego na podtrzymanie zdrowia. W Pölitz, po polsku: *Police*, pożegnał się krótko i zwięźle, po żołniersku, ze swoją jednostką, która następnego dnia wymaszerowała gdzieś nad Wisłę, na Blitzkrieg, na front polski. W rozkazie wymarszu mojego ojca widniała przepustka na wyjazd pociągiem do Berlina, by kilka godzin później zawinąć z oblubienicą do ślubnego portu.

Podczas gdy moi rodzice tonęli w rozkoszach, pierwsze angielskie bomby spadały na daleki Magdeburg. W tym samym czasie, podczas mglistej nocy nad Wisłą, padały gardłowe okrzyki: „*Do boju!*”, po nie-

² **Karpacz Górny**, niem. Brückerberg, krótko po II wojnie światowej znany jako *Mostowa Góra*, następnie do roku 1991 pod nazwą *Bierutowice*; najwyżej położona część Karpacza.

³ **Kościół Wang** lub Świątynia Wang – ewangelicki kościół parafialny w Karpaczu w Karkonoszach, przeniesiony w 1842 z miejscowości Vang w Norwegii. Uważany jest za najstarszy drewniany kościół w Polsce. Norweski malarz Jan Krystian Dahl przebywający w Dreźnie skłonił pruskiego króla Fryderyka Wilhelma IV do jej zakupu dla berlińskiego muzeum. W 1841 r. rozebraną świątynię przewieziono najpierw do Szczecina, a potem do Berlina, jednak zaprzęgnięta z królem hrabina Fryderyka von Reden z Bukowca przekonała go, żeby przewieźć ją na Śląsk (wówczas niem. Brückerberg – Mostowa Góra). W 1844 r. Świątynia Wang stała się kościołem miejscowej parafii ewangelickiej i jest nim nadal. Stanowi atrakcję turystyczną Karpacza. Konstrukcja kościoła wykonana jest bez użycia gwoździ, wszystkie połączenia zrealizowano przy pomocy drewnianych złączy ciesielskich.

miecku: „Zum Sieg!”, z ust polskich ułanów, którzy konno, z nagimi szablami szturmowali jednostkę ojca. Gdy ojciec zwyciężał, a matka jęczała, ułani starli, jak to się mówi wojskowym żargonem, na prochy cały oddział ojca. Polskim jeźdźcom powiedziano, że Niemcy stoją nad rzeką z atrapami armat.

Kiedy ojciec musiał zameldować swój powrót, jego trupa już nie istniała. Tak więc na wiosnę zamiast do Polski pomaszzerował do Francji, gdzie zaciągnięto go do bliźniaczej jednostki. Zamiast języka polskiego nauczył się francuskiego, w 1944 r. wzięto go do amerykańskiej niewoli, skąd uciekł nad Ren i dość późno, ale w zdrowiu powrócił do domu.

I tak się stało, że ja się urodziłem. Niedaleko od Berlina poszedłem do szkoły, by niechętnie uczyć się języka rosyjskiego. Dwadzieścia kilometrów dalej, w Berlinie Zachodnim, uczono się angielskiego i francuskiego. I tak jest zawsze, uczymy się języka zwycięzcy. Nic dziwnego, że nie wiedziałem, jak nazywa się po polsku Śląsk, ojczyście strony mojej matki. Widziałem je – to romantyczny skrawek ziemi, wszystko jedno w jakim języku.

© Bernd Kebelmann

© przekład: Małgorzata Płoszewska



Kościółek WANG w Karpaczu Górnym
Foto: © Piotr Michalak